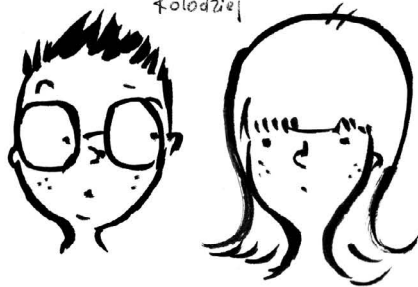


# LICENCJA NA ZAKOCHANIE



ilustracje  
Katarzyna  
Kotodziej



Marcin Pałasz  
**Licencja na zakochanie**

© by Marcin Pałasz  
© by Wydawnictwo Literatura

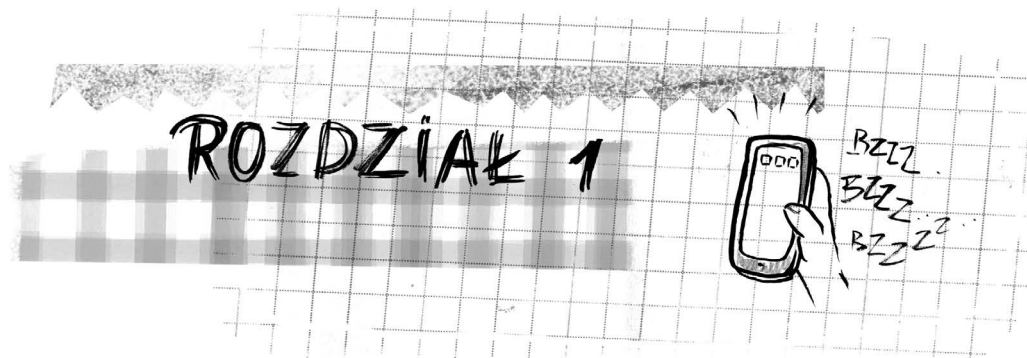
Okładka i ilustracje:  
Katarzyna Kołodziej

Korekta:  
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie II  
w tej edycji

**ISBN 978-83-7672-528-4**

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2017  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630-23-81  
www.wyd-literatura.com.pl



NOWY SMS  
OD: LUTKA  
DO: GUCIO  
DZISIAJ, GODZ. 18.47  
HEJ, GUCIU! NIE MOGĘ SIĘ DZIŚ Z TOBĄ SPOTKAĆ,  
BO WŁAŚNIE JESTEM Z PIOTRKIEM W KANAPIE.

Gucio, którego oblicze przybrało w tej chwili kolor bladozielonkawy, wytrzeszczonymi oczami wpatrzył się w wyświetlacz swojego telefonu, na którym jednak uparcie widniała ta sama wiadomość.

Nie rozumiał. Co to znaczy, że Lutka jest z Piotrkim w kanapie? W jakiej kanapie?! Co oni w ogóle wyrabiają?! Na miłość boską, przecież ona ma dopiero trzynaście lat, a Piotrka poznała raptem dwa tygodnie temu!

Zrozumiał jedno – życie już nigdy nie będzie takie jak przedtem. Prawdopodobnie sam Guccio również nigdy nie będzie już taki jak przedtem. Istniała duża szansa, że na przykład właśnie w tej chwili zaczynały mu się pojawiać pierwsze siwe włosy na głowie. Może nawet już całko-

wicie osiwał? Nie był pewien, czy siwieniu towarzyszą jakieś inne objawy. Na przykład swędzenie, łaskotanie czy coś w tym stylu. Niedawno czytał w gazecie artykuł o tym, że pewien pan osiwał w jednej chwili po tragicznej stracie ukochanego psa. A zresztą, być może to pies osiwał znienacka po tragicznej stracie ukochanego pana. Gucio nie był tego pewien.

Zbliżając się do przystanku autobusowego, z lekkim niepokojem, ale i z pewną nadzieją, przejrzał się w mijanej właśnie witrynie. Niestety, zamiast szlachetnej siwizny ujrzał dobrze znane, rozczochrane nieco włosy w równie dobrze mu znanym, ciemnym kolorze. Pod włosami widniała zaś obrzydliwie znajoma, puciołowata twarz z lekko perkatym nosem, na którym tkwiły okulary. Czy coś takiego może wygrać z tym okropnie przystojnym, blondwłosym Piotrkim, wyglądającym jak młodszy brat jednego z członków zespołu One Direction? Wątpliwe. Nawet mocno wątpliwe.

Porzuciwszy nadzieję na siwiznę, która być może nadałaby mu nieco uroku cechującego na przykład George'a Clooneya, przyspieszył kroku, z daleka widząc nadjeżdżający autobus. Z drugiej strony ludzie farbują sobie włosy, po prostu. Może to jest jakieś wyjście? Może czas na dokonanie radykalnych zmian w wizerunku?

Nie zdążył dokończyć tej intrygującej myśli, bowiem w tej właśnie chwili został w zasadzie napadnięty. Może nie fizycznie, ale raczej werbalnie.

– Haszło?! – wykrzyknął w kierunku Gucia chłopak mniej więcej w jego wieku, pędząc chodnikiem. Zamy-



ślony Gucio, znienacka wyrwany ze swoich posępnych rozważań, wpadł w lekką panikę. Kompletnie nie rozumiał, dlaczego ktokolwiek pyta go o jakieś hasło.

– Czerwony Kapturek!!! – wrzasnął rozpaczliwie, mając nadzieję, że to wystarczy sepleniącemu chłopakowi.

Ten z wrażenia zatrzymał się w biegu, potknął się i ze zdumieniem przyjrzał Guciovi.

– Jaki znowu Czerwony Kapturek? – spytał niepewnie, przy czym okazało się, że wcale nie sepleni. – Ja pytam, czy „H” już szło. Znaczy się, autobus linii „H”. Nie widziałeś?

Gucio jęknął z głębi serca. Tak, teraz obcy człowiek weźmie go za kompletnego idiotę. Czerwony Kapturek, dobre sobie. Już i tak wystarczy, że jego przyjaciółka Lutka zrobiła mu coś... No, coś takiego, że...

– Nie szło – mruknął ponuro. – I nie jechało. A także nie pęzło ani nie tańczyło samby. Przed chwilą przejechał jeden, ale to nie było „H”.

– O, teraz rozumiem – odetchnął chłopak. – Co do pełzania, to jednak mam wątpliwości. Tutaj chyba wszystko pełza, w tym Wrocławiu. Czemu macie połowę ulic w remoncie?

Gucio, dla którego ten stan rzeczy był w zasadzie czymś najzupełniej zwyczajnym, nieco się zdziwił.

– A to coś nienormalnego? – spytał. – Skąd ty jesteś, że ci to przeszkadza?

– Z Łodzi – odparł chłopak ostrożnie. – Wy tutaj, mam nadzieję, nie bijecie tych z Łodzi?

Gucio ze swoją dość masywną, ale niebudzącą zazwyczaj u nikogo grozy posturą, poczuł się mile połączony.

– Nie bijemy – zapewnił go. – Przynajmniej ja jakoś w to nie wchodzę. A co, kibicujesz może?

– Nie kibicuję – mruknął chłopak z lekkim wstrętem. – Wystarczy, że jeden taki, który mieszka nade mną, jest kibicem. Ostatnio dostał przez to w zęby, a w ogóle to go nie lubię.

– Podobno nie wszyscy, którzy kibicują, są tacy źli – zauważył Guccio, powoli nabierając chęci do rozmowy. W jakiś dziwny sposób czuł, że dobrze mu to zrobi po tym okropnym esemesie od Lutki. – Niektórzy potrafią być zupełnie normalni.

– Ten akurat nie jest zupełnie normalny – zapewnił go chłopak, wpatrując się w wylot ulicy. – Coś jedzie! Żółto-czerwone i duże, więc chyba autobus. A o tym kibicu to kiedyś ci opowiem, jak go załatwiłem martwą kurą.

– Mrożoną?! – wyrwało się Gucio, gdyż momentalnie ujrzał oczyma duszy wizerunek niepozornego chło-

paka, walącego niesympatycznego i agresywnego kibica mrożoną w łeb.

– Nie, gotowaną – odparł chłopak z lekkim roztargnieniem. – Jak się okazało, była lepsza niż mrożona. Wsiadasz?

– Wsiadam – ucieszył się Guccio na widok autobusu linii „H”. – A dokąd w ogóle jedziesz?

– Na Wrzosową – mruknął chłopak z lekkim niesmakiem. – Na razie tam mieszkam, przynajmniej do końca wakacji.

– Spędzasz wakacje we Wrocławiu?

– Nie z własnej woli, uwierz – padła dość nieoczekiwana odpowiedź, która, nie wiedzieć czemu, nieco uraziła Gucia. Jak by nie patrzeć, kochał swoje miasto i uważał je za jedno z najpiękniejszych w Polsce. – Po prostu nie miałem innego wyjścia.

– Masz karę? – spytał Guccio domyślnie, postanawiając się jednak nie obrażać. W końcu nie każdy musi uważać wakacje we Wrocławiu za szczyt marzeń. – Ja też niedawno miałem być za granicą, na Wyspach Kanaryjskich, ale babcia dostała grypy albo jakiejś innej anginy, więc musiałem z nią zostać. A w ogóle to też mieszkam przy Wrzosowej.

– Co ty nie powiesz! – ucieszył się chłopak, po raz pierwszy uważnie przyjrzał się Gucio, po czym wyciągnął do niego dłoń. – Jestem Bąbel. Chociaż tak naprawdę mam na imię Bartek, ale nikt tak na mnie nie mówi. To, że tu jestem, nie znaczy, że zrobiłem coś złego. To znaczy zaprzyjaźniłem się z kurą, a potem pojawiła się krowa,

a potem gotowałem rosół, który wybuchł. No i w końcu moja mama postanowiła, że lepiej przyśle mnie tutaj, do wujka, żeby wybił mi z głowy głupie pomysły.

Gucio po króciutkim wstrząsie i nieco dłuższym namyśle postanowił na razie nie wnikać w te dziwne wyjaśnienia, kojarzące się raczej z gospodarstwem rolnym niż z dużym miastem, jakim niewątpliwie była Łódź. Poza tym wzmianka o zaprzyjaźnionej kurze, którą następnie Bąbel ugotował, wydała mu się dziwnie niesmaczna. Bo przecież nie przyjaźnił się chyba z gotowaną kurą?!

Skoro jednak Bąbel się przedstawił, wypadało zrobić to samo.

– Jestem Guccio – powiedział krótko.

– Guccio? W takim razie ja chyba o tobie słyszałem – oznajmił niespodziewanie Bąbel, obrzucając Guccia zaciekawionym spojrzeniem. – Od mojego wujka właśnie. Twierdzi, że jesteś podejrzany.

Gucio przeżył kolejny lekki wstrząs. Po krótkim namyśle stwierdził jednak, że bycie podejrzany w czyichkolwiek oczach może być nawet ekscytujące. Przynajmniej w tej dramatycznej sytuacji, w jakiej znajdował się obecnie. Pozwalało to choć trochę oderwać myśli od tego tragicznego esemesa i kanapy, w której Lutka z Piotrikiem... No właśnie. Co oni mogli tam robić?

– Nie jestem podejrzany – stwierdził jednak uczciwie, z pewnym trudem przenosząc myśli z kanapy do czerwonego autobusu linii „H”. – Nie wiem, kim jest twój wujek, ale... – urwał nagle, tknięty straszliwym przypuszczeniem. – Czy twój wujek jest może emerytowanym puł-

kownikiem wywiadu? – spytał z nagłym przerażeniem. – I czy nazywa się Wścibejko?!

– Kontrwywiadu – sprostował Bąbel spokojnie. – No właśnie, to on. A co, pewnie go znasz?

– Aż za dobrze – wyznał Guccio, czując lekkie dreszcze i skurcz w żołądku. – Moja babcia nie lubi go za to, że nas podgląda tą swoją wielką lornetką marki Zeiss.

– Już ma nową, podobno lepszą! – powiadomił go radośnie Bąbel. – Z laserowym celownikiem.

– Mam nadzieję, że nie będzie z tego lasera strzelał do mojej rodziny.

– Ma też strzelbę. Co prawda tylko wiatrówkę, ale jednak...

– Nie wiem w sumie, czy mam cię lubić, czy nie – wyrwało się nagle Guciovi z głębi serca, zanim zastanowił się, co też właściwie mówi. – Bo twój wujek naślał na nas kiedyś policję.

– To, że mój wujek ma czasem wybujałą wyobraźnię i wymyśla różne dziwne rzeczy, nie znaczy przecież, że to nasza cecha rodzinna! – roześmiał się na to Bąbel, a był to śmiech tak szczery i jakiś taki... przyjazny, że Guccio momentalnie pozbył się wszelkich wątpliwości. – No, sam powiedz! On chyba robi to wszystko z nudów od czasu, jak przeszedł na emeryturę.

Gucio po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że nie sposób nie zgodzić się z tym rozumowaniem. W każdej rodzinie zawsze znajdzie się jakaś czarna owca, przecież znał takich ludzi. Nawet Lutka ostatnio opowiadała mu o takim jednym, którego bracia i rodzice byli zupełnie

normalni, a on uparcie znosił do domu słoiki pełne żywych dżdżownic. Jakoś wolał nie wnikać w powody, dla których ktokolwiek może pałać sentymentem do żywych dżdżownic. No chyba że jest wędkarzem. Wujek Piotr też był wędkarzem i kiedyś nawet usiłował nakłonić Gucia, aby założył rosówkę na haczyk, ale Gucio mimo wszystko odmówił.

Myśl o wujku Piotрку ponownie nasunęła Guciovi wspomnienie o tamtym Piotрку, którego Lutka poznała podczas zdjęć próbnych do reklamy telewizyjnej i prawdopodobnie od razu się w nim zakochała. Swoją drogą pewną pociechę stanowił dla Gucia fakt, że Piotrek wystąpił w reklamie przebrany za paluszek serowy. To nie był chyba jakiś specjalny powód do dumy, prawda? Z drugiej strony on sam do tej pory jakoś nie wystąpił w żadnej reklamie, a to był jeszcze mniejszy powód do dumy. Może by tak wystąpić jako pyza? Chyba tylko to mu pozostało przy jego nadwadze.

– A tak w ogóle, to mam wrażenie, że jesteś jakiś smutny – zauważył Bąbel, gdy wysiadali z autobusu. – Coś się stało?

– Kanapa – odparł Gucio ponuro. – Moja najlepsza przyjaciółka spędza właśnie wieczór w kanapie z takim jednym. Nie lubię go.

Bąbel milczał przez chwilę, najwyraźniej ogłuszony nagłą informacją.

– Dość nietypowe miejsce jak na randkę – wymamrotał w końcu. – Oni są jacyś dziwni czy jak?

– Do tej pory ona była zupełnie normalna. To znaczy dopóki go nie poznała, tego całego Piotрка. I sam popatrz, teraz zamyka się z nim w kanapie.

– Ale po co?!

– Nie chcę tego wiedzieć. Chyba sam się zamknę w kanapie, żeby sprawdzić, co tam można robić. Chociaż mam wrażenie, że jest im tam razem dość ciasno.

– Może właśnie o to chodzi? – wysunął przypuszczenie Bąbel i zmieszał się, widząc nagłą bledość swojego nowego kolegi. Pospiesznie spróbował naprawić swój błąd. – To znaczy chodziło mi o to, że może słuchają tam razem radia... Albo, na przykład, było im zimno?

– Nie kończ – poprosił Gucio. – I nie próbuj mnie pocieszać. Ja wiem, że wszystko jest względne. Tylko Chuck Norris jest bezwzględny.



## ROZDZIAŁ 2



W barze Kanapka Lutka zaraz na samym wstępie mocno się zdumiała, gdy Piotrek, zamawiając zestaw kanapkowy, zaczął wybrzydzać nad rodzajami pieczywa.

– A czy to pełnoziarniste nie ma w sobie aby zbyt wiele słonecznika? – zwrócił się do kelnerki, która wytrzeszczyła oczy, słysząc to pytanie. – Bo wie pani, że w ciemnym pieczywie muszą być zachowane odpowiednie proporcje.

– Nie... nie jestem pewna – odchrząknęła kelnerka. – Ale, jak do tej pory, nikt się nie skarżył na zbyt dużą ilość słonecznika.

– Chodzi o błonnik – ciągnął Piotrek, przeglądając kartę. – Nie każde ziarno ma odpowiednią jego ilość. A teraz, w takim razie, zajmiemy się serem i wędliną.

Żądanie sera z konkretnej mleczarni, na szczęście dość znanej, przeszło w miarę bezboleśnie, gdyż okazało się, że bar Kanapka zaopatruje się w przetwory mleczne właśnie u nich. Natomiast pytanie o rasę świń, z której pochodzi szynka użyta w kanapce, oraz o uprawę ekologiczną sałaty wykorzystywanej w barowej kuchni, wzbu-

dziło już lekkie osłupienie tak kelnerki, jak i samej Lutki, która do tej pory nawet nie miała okazji się odezwać. Burczało jej w brzuchu, miała ochotę zjeść cokolwiek, nawet chleb z dużą zawartością słonecznika, z szynką z nierosowej świni i z żółtym serem, który mógł być pokrojony choćby i wczoraj. Była głodna!

A może jednak w tym wszystkim coś było? Z tego co wiedziała, Piotrek pochodził z jakiejś okropnie bogatej rodziny, która z pewnością orientowała się, czego należy wymagać w rozmaitych restauracjach. A tym bardziej w takim zwykłym barze kanapkowym. Ona sama poczuła się nagle dziwnie dzika, nieobyta i nieokrzesa, zupełnie jakby ktoś wypuścił ją prosto z lasu w świat wieczorowych sukien, homarów i kelnerów we frakach. Jakie to szczęście, swoją drogą, że tu nie podają homarów. Nawet nie miała pojęcia, jak powinna się zabrać do jedzenia czegoś takiego. Postanowiła, że jak tylko wróci do domu, zapyta rodziców. Ewentualnie poszuka odpowiednich porad w internecie...

W końcu jednak Piotrek zakończył swoje żądania.

– A co tobie podać? – spytała kelnerka znękany głosem.

– Wszystko mi jedno – wymamrotała Lutka, okropnie się wstydząc, że nie może przedstawić jakichś wygórowanych wymagań. Nie znała się na rasach świń, zaś wytwórnie serów jakoś jej do tej pory nie interesowały. – Może być kanapka, na przykład z sosem. I nie wegetariańska, bo podobno młodzież potrzebuje mięsa.

– To już zależy od poglądów rodziców – zauważył Piotrek uprzejmie, zastanawiając się nad wyborem od-

tuszczonego kefiru lub jogurtu truskawkowego. – Nie wszyscy tak uważają. A tłuszcze zwierzęce w nadmiarze nie wpływają korzystnie na nasze zdrowie.

Lutka z ogromnymi wyrzutami sumienia przypomniała sobie kotlet schabowy zjedzony wczoraj u Gucia. W dodatku z kapustą zasmażaną, w której były skwareczki. Ale Guciowa babcia gotowała tak pysznie, że nie mogła się po prostu powstrzymać, by nie poprosić o dokładkę! W obliczu straszliwych szkód, jakie nieszczęsny kotlet mógł wyrządzić jej młodemu organizmowi, popadła w lekkie przygnębienie.

– Czemu jesteś smutna? – spytał Piotrek, sadowiąc się wygodniej na krześle. – Co jest?

– Kotlet – wyznała Lutka ponuro, postanawiając być szczerą do granic możliwości. W końcu skoro zależało jej w jakimś stopniu na tym ogromnie czarującym i dobrze wychowanym chłopcu, który tak niespodziewanie pojawił się w jej życiu, szczerłość była rzeczą bezwzględnie wymaganą. Nie zamierzała grać kogoś, kim nie była. Chociaż, w sumie, jakieś drobne poprawienie własnego wizerunku w jego oczach nie byłoby, być może, tak bardzo naganne?

– Jaki kotlet? – spytał Piotrek nieufnie. – Mielony?

– Schabowy.

– I co on robił? Czemu o nim myślisz? Był niedobry?

– Był bardzo dobry – westchnęła Lutka, po czym mimowolnie dodała: – Guciuowi też bardzo smakował.

– Ciągle wspominasz o tym Guciu – zmarszczył brwi Piotrek, zerkając na zegarek marki Adidas. – A ja go do

tej pory nawet nie miałem okazji poznać. Kim on w ogóle dla ciebie jest?

– Przyjacielem – wyznała Lutka uczciwie. – Znamy się, sama nie wiem jak długo, mieszkamy przy tej samej ulicy i w ogóle. Bardzo go lubię.

– Jak bardzo?

Pytanie było tak zwyczajne, a zarazem tak trudno było na nie odpowiedzieć, że Lutka zaniemówiła. Co ma znaczyć: „jak bardzo”?

– Gucio to Gucio, i tyle – westchnęła wreszcie. – Jest fajny, ma poczucie humoru i umie się zachować w różnych niezwykłych sytuacjach. No i, co najważniejsze, mogę mu opowiedzieć o wszystkim.

Piotrek ponownie zmarszczył brwi i zapatrzył się w sufit.

– Chciałbym poznać tego całego Gucia – rzekł miłym głosem, w którym pobrzmiwały jednak stalowe nuty. – Nie powinnaś się zadawać z byle kim, pamiętaj. Moja mama zawsze tak mówi i pewnie ma rację. A właśnie, może wpadłabyś do nas jutro na obiad? Opowiedziałem mamie o tobie i ucieszyła się, że poznałem miłą dziewczynę.

– Nie będę jeść żadnego homara! – wyrwało się Lutce, zanim zdążyła się opanować. Jednakże wizja egzotycznego stworzenia ze szczypcami, leżącego przed nią na talerzu, była silniejsza od niej. W dodatku podobno do jedzenia tego całego homara potrzebne są jakieś wyrafinowane i tajemnicze przyrządy, którymi posługiwać się z pewnością nie potrafiła.



– Nie będzie homara! – zapewnił ją zdumiony nieco Piotrek. – Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? Homar czasem jest w niedzielę, ale tylko wtedy, gdy tacie uda się kupić świeżego w zaprzyjaźnionym sklepie.

– A co będzie? – odważyła się spytać Lutka, rozdarta pomiędzy dziwnym trzepotaniem w okolicach serca, gdy patrzyła na Piotrka, a lękiem przed homarem, krewetkami lub, nie daj Boże, ośmiornicą. Te wszystkie szczypce i macki były w jakiś sposób niepokojące.

– Zapewne zupa rybna z grzankami, a na drugie szparagi zawijane w polędwicy – mlasnął Piotrek, przymykając aż oczy z wrażenia. – Oczywiście lubisz szparagi, prawda? Są bardzo zdrowe i niskokaloryczne. Moja mama zwraca na to szczególną uwagę.

Lutka zajęła się swoją do bólu zwyczajną kanapką, patrząc na Piotrka, z wdziękiem konsumującego swoje ciemne pieczywo z niską zawartością słońca, i rozmyślając posępnie nad brakami w swoim obyciu towarzyskim.

To całe zakochanie to nie jest taka prosta sprawa, jak się okazuje. Taki Piotrek, na przykład, konsumuje posiłek i to od razu widać. A ona sama zwyczajnie je swoją kanapkę. To jednak stanowiło pewną różnicę.

Zaraz, co to ona właśnie pomyślała?

Zakochanie?!

Zastygła z kanapką przy ustach, nie zwracając uwagi na to, że dwa kawałki kapusty pekińskiej podstępnie zawisły w kącikach jej ust.



– Dziwnie wyglądasz – rzekł wreszcie Piotrek, przyglądając się Lutce z uwagą. – Kanapka ci nie smakuje? Może chcesz inną?

Lutka w panice zerknęła w lustro zawieszony na ścianie tuż obok, po czym ze zgrozą stwierdziła, że feralna kapusta wygląda niczym długie zęby wygłodniałego wampira. No tak, tego tylko brakowało, żeby na jednej z pierwszych randek wyglądała niczym rodzona siostra hrabiego Drakuli!

Z drugiej strony lepsza chyba kapusta aniżeli szczypce jakiegoś homara czy innej langusty...

Posępnie zastanawiając się nad możliwymi efektami jedzenia szparagów, westchnęła ciężko, po czym uśmiechnęła się najbardziej promiennie, jak tylko potrafiła i powróciła do posiłku, starając się go konsumować.